AMELIA SAWA

ur. 1925; Siedliszcze

Miejsce i czas wydarzeń	Lublin, II wojna światowa, PRL
Słowa kluczowe	Lublin ; Pustelnik ; ulica Lubartowska ; ulica 1 Maja ; ulica 22 Lipca ; ulica Długa ; ulica Garbarska ; ulica Żelazna ; ulica Męczenników Majdanka ; ulica Sieroca ; ulica Bernardyńska ; ulica Bychawska ; LSM ; dzielnica LSM ; Niemcy ; Żydzi ; ucieczka Żydów ; okupacja niemiecka ; II wojna światowa ; wyzwolenie Lublina ; szkoła handlowa ; szkolnictwo ; matura ; lekcje języka niemieckiego ; lekcje chemii ; Szkoła Handlowa im. A. i J. Vetterów ; Prywatne Koedukacyjne Gimnazjum i Liceum dla Dorosłych dr Ireny Krzeczkowskiej ; KUL ; Katolicki Uniwersytet Lubelski ; wykładowcy akademiccy ; studia historycze ; studia warunkowe ; UB ; Urząd Bezpieczeństwa ; SB ; Służba Bezpieczeństwa ; partyzanci ; aresztowania ; Armia Krajowa ; aresztowania AK ; dystrykt ; siedziba dystryktu Generalnej Guberni ; więzienie na Zamku Lubelskim ; Zamek Lubelski ; przemarsz Żydów ; przemarsz Żydów przez ulicę Fabryczną ; wspomnienia o mężu ; wyzwolenie 1944 ; dom dziecka ; szkoła tańca ; Centrala Włókna Krajowego ; praca zawodowa ; pan Eustachewicz ; pani Szajbelowa ; pan Różański ; Wojskowa Akedemia Medyczna ; Krzeczkowska, Irena (1897-1988) ; Krzysiak, Helena (1905-1997) ; Krzysiak, Zenon (1929-1986) ; Krzysiak, Józef (1899-1992) ; Jabłoński, Henryk ; Tyburski, Edward ; Pastuszka, Józef (1897-1989) ; Wyszyński, Stefan (1901-1981)

1. Ucieczka Żydów

Wracając ze szkoły, szłam tą trasą jak zawsze, tą ulicą… Wtedy to była [ulica] Fabryczna. Potem, po tych wszystkich tragediach wojennych nazwano ją [Drogą] Męczenników Majdanka. Także szłam sobie ze szkoły jak zwykle i nagle patrzę, prowadzą ludzi. To jest przerażające. To wstrząs był po prostu taki, przerażenie. To były trzy duże grupy. Jedna od drugiej była trochę odłączona. Ja jakimś dziwnym trafem znalazłam się już tutaj, gdzie kościół jest na [Drodze] Męczenników [Majdanka], naprzeciw jest park Bronowice. Tam było napisane „Ave”na tym kościele. I ten napis mój ojciec zrobił. Ale już podobno zdjęty. Już teraz chyba nie ma tego. Na samym szczycie był ten napis. Ja taka jestem przerażona i przestraszona tym, bo to widok był niesamowity, przeżycie dla człowieka. I w końcu tak się złożyło, że niebawem miałam dojść do przejazdu. Teraz tam jest tunel, a wtedy tunelu nie było,

tylko się szło po szynach. A zaraz za tymi szynami był skręt na prawo na ulicę Długą. I tam kawałeczek się przeszło i już ukazywał się dom, ten, w którym była szkoła, i taki wysoki mur. I taki moment zaistniał bardzo dla mnie niepokojący. Bo jedna grupa przechodzi, druga już wchodzi i ja się z nimi razem zetknęłam. A wokół tej grupy była ta ochrona, wojsko niemieckie. I szli z karabinami i mieli jeszcze takie pyty, takie do bicia, do wszy. I tak wszystkich tam kierowali tym, dotykali. Bo tak przy mnie nikt nie był bity. Na pewno, bo nie widziałam tego. Ale te pręty do tego celu służyły. I ja się znalazłam właśnie na szynach i zaraz mam skręcać. I jeden z Niemców patrzy na mnie. A ja wtedy zdobyłam się taką siłą woli, że spojrzałam na niego, tak jak gdyby nigdy nic. Nieprzestraszona. Czyli on zauważył, że ja nie jestem z tej grupy. Ale potraktować mógł mnie różnie. I tu miałam problem. Tylko siłą woli, przeżyłam wtedy, naprawdę. Bo to tylko można było zemdleć z tego wrażenia. Dosłownie, bo to nogi się uginały. I w końcu ja, tak jak gdyby nigdy nic, idę, on mnie nie dotyka, już widzę, nie czuję tego. I zboczyłam na tą ulicę Długą i idę. Nogi mam jak gliniane i boję się, czy zemdleję, czy nie, bo mi się tak robi dziwnie w organizmie, ale idę. Z chwilą, kiedy doszłam już do takiego małego zakrętu, usłyszałam krzyki. „*Halt! Halt!*" coś tam jeszcze wrzeszczeli Niemcy. To mnie trochę przestraszyło, bo nie zauważyłam, żeby ktoś za mną jeszcze szedł, a nie oglądam się, bo po prostu bałam się oglądać. I nagle znalazłam się przy tym wysokim murze, który chroni cały przejazd kolejowy. Zaczęłam bardzo szybko iść, bo się po prostu przestraszyłam. I chciałam szybciej od tego tragicznego momentu odejść. I idę, idę szybko, nagle słyszę strzały. I co się okazało? Przede mną przebiega jeden, drugi człowiek. Uciekali z tej grupy. A ja nie mogę uciekać, bo pomyślałam, jak będę uciekać, to będą do mnie strzelać. Więc idę zupełnie jak gdyby nigdy nic, a oni uciekają. I ja widzę takie ognie czerwone obok siebie. No to już wiedziałam, że jestem w tragicznej sytuacji. I marzeniem moim było, żeby dojść do ulicy Garbarskiej. Bo zaraz się na bok skręcało i nie było prześwitów, były mury. I wysokie domy tam są. I taki miałam wewnętrzny, głęboki cel, żeby schować się za te mury. Strzelanina była niesamowita i wrzask. A ja w tym tragicznym momencie jestem zupełnie sama na tej trasie. Bo to była raczej rzadko uczęszczana ulica. Tym bardziej, że ludzie, jak widzą, że coś się dzieje złego, to uciekają, gdzieś się kryją, nie wychodzą. A ja wtedy miałam taki zbieg okoliczności, bo przecież nie oczekiwałam tego ani nie chciałam. I w końcu musiałam się obejrzeć, bo nie wytrzymywałam, co się za mną dzieje, bo zaraz skręcam. I przed tym skrętem tak lękliwie spojrzałam do tyłu i zobaczyłam wiele leżących ciał. I z daleka widziałam, jak Niemcy biegną i już więcej nic nie widziałam, bo upragniona moja ulica była przede mną. Skręciłam w prawo. Chciałam dobiec dopiero do ulicy Żelaznej, bo tam się zaczynały domy już. Nie wiem jak ja to zrobiłam, bo w końcu znalazłam się na tej Żelaznej ulicy i po prostu weszłam do pierwszej bramy i i musiałam tam chwilę odpocząć. Akurat w tej bramie mieszkała moja koleżanka, jeszcze ze szkoły handlowej. Ona była córką kolejarza, a potem, po wyzwoleniu, skończyła medycynę, była lekarką. Tak, to był bardzo ciężki dzień dla mnie. Po prostu nie widziałam nadziei

już, bo widziałam te strzały przy mnie. Ale pewnie dobrze celowali, że jakoś mnie uchronili. A wiedzieli tylko tyle, że jestem młodą dziewczyną, bo widać to było. Tego się nie da ukryć. Wreszcie przyszłam do domu, a mieszkałam na bocznej właśnie [ulicy] Żelaznej. Nie pamiętam już nic, bo byłam za bardzo zszokowana. Niestety mieliśmy bardzo dużo takich sytuacji. Trudne były do zniesienia, ale udało się, chociaż nie wszystkim, niestety. To był jakiś rok [19]43. Bo ja byłam w szkole handlowej wtedy, jeszcze nie skończyłam tej szkoły. To znaczy, że tak mniej więcej w tym czasie.

2. Wspomnienia ze szkoły handlowej

Szkoła handlowa, do której chodziłam, mieściła się na [ulicy] 1 Maja. Teraz, jadąc od tego mostu, to po lewej stronie. I tam jest napisane „bank"teraz. Ale nas potem stamtąd wyrzucono, bo ten budynek się na coś przydał, a nas umieszczono na Piłsudskiego. No więc mieszkaliśmy tam w takim domu właśnie, wychodząc z placu Bychawskiego na tę aleję Piłsudskiego. To tam taki przedostatni, dość duży budynek na parterze. Miałyśmy chyba dwie sale tylko. Mam zdjęcia nawet z tych sal i z lekcji. A potem jeszcze raz nas wyrzucono stamtąd. I przeniesiono aż na ulicę Zieloną. Wchodziło się z Krakowskiego Przedmieścia na [ulicę] Staszica i na [ulicę] Zieloną. To znaczy na prawo taki budynek pierwszy spory, to właśnie tam była szkoła. Wtedy miałyśmy o tyle lepiej, że tych sal było więcej. Poza tym było jeszcze takie podwórko duże, no to mogłyśmy sobie tam wychodzić na przerwę. I mam dużo zdjęć z tego czasu. To wszystko naprawdę się przypomina bardzo tak przyjemnie, ale i trwożnie. Bo zawsze coś na nas czyhało, jakaś bieda, jakieś nieszczęście, jakieś pomysły Germańców. Jeśli chodzi o nauczycieli, którzy nas uczyli, to takim bardzo przystojnym panem był pan dyrektor. Niestety Niemcy go rozstrzelali zaraz. Była pani polonistka. Właściwie to ona podobno była polonistką, ale uczyła korespondencji, bo nam się polskiego nie wolno było uczyć. I była pani, która uczyła nas towaroznawstwa. Także jestem przygotowana do handlu też. Był też pan, który prowadził księgowość.

3. Pan od geografii

Najbardziej ulubionym moim nauczycielem był pan, który uczył nas geografii, dlatego bo to był taki oryginalny w wyglądzie starszy pan, wysoki, wielki, z bródką. I on wrócił z Rosji i miał akcent… Właśnie mówił z akcentem rosyjskim. I mieszkał na ulicy Bernardyńskiej. I pan profesor bardzo pięknie nam opowiadał, a szczególnie interesująco o całej Rosji, bo on zjeździł całą Rosję. Więc to opanowałyśmy bardzo dobrze. A, jeszcze nasz pan profesor od niemieckiego. Co prawda on był polonistą, ale znał niemiecki i uczył niemieckiego, bo potrzeba taka była. A jego ojciec był profesorem we Lwowie literatury polskiej. Tak. I mieszkali na rogu [ulicy] Kapucyńskiej i [ulicy] Zamojskiej. Tego domu już nie ma. Już tylko plac został. Nie wiem dlaczego. I ten pan profesor był trochę oryginalny. Taki zamknięty w sobie, tak

mówiący szybko. Czapkę jak zakładał, to daszek był z boku zawsze. Guziki były pozapinane krzywo, że tu wystawało więcej, tu mniej. Ale jakież moje było zdziwienie, kiedy po ukończeniu już tej szkoły, kiedy już zaczęłam w tym dystrykcie pracować, kiedy już musiałam uciec z Lublina i wróciłam na ten Pustelnik, to było dla mnie szokujące, bo na całym Pustelniku, we wszystkich domach było pełno partyzantów. A u tej gospodyni, do której ja przyszłam, była taka główna kancelaria partyzantów. Jest stacja nadawcza i odbiorcza. I słyszę jak oni tak pukają, to wszystko brzęczy. Jezu, przecież to już jest bliskie zwycięstwo nasze. I w pewnym momencie otwierają się drzwi, a przy stole przy tych wszystkich urządzeniach radia nadawania i odbioru, patrzę, a to siedzi ten mój profesor niemieckiego. Jakżeż on się przestraszył, a ja się ucieszyłam. Bo bał się, że ja rozniosę wieść, że on tu jest. On był taki trochę oryginalny, więc jakieś miał swoje własne spojrzenie i spostrzeżenia na te sprawy. I zamarł w końcu, zesztywniał, przeraził się. Mnie zobaczył, a nie wiedział, co się dzieje. Bardzo poważna była sprawa. On to prowadził, to radio, dlatego że on potrafił i językowo był przygotowany też. Ja się uśmiechnęłam. On potem już się uspokoił, ale widziałam, że bardzo to przeżył. To był dla niego szok. Nazywał się Eustachewicz. Dowiedziałam się tylko tyle już po wojnie, jak już było wyzwolenie tak zwane, to dowiedziałam się, że do niego przyszli z Urzędu Bezpieczeństwa i przeszukali wszystko w domu. Czegoś tam szukano, nie wiem. I znaleziono jego dzieło, które było takie wspaniałe, może na poziomie Mickiewicza. I zostało spalone, a on zwariował. Podobno tak było. No bo przeżywał, wrócił z tej partyzantki. Już było po i spotkało go takie nieszczęście.

4. Koniec wojny. Mowa obronna

Ja byłam cały czas na Pustelniku. Moja mama miała już dość i z bratem wrócili do domu. A mój ojciec jeszcze nie wiedział, o co chodzi. Tam się nadziałam na bardzo przykrą sytuację. Bo całą wieś aresztowano i mojego ojca. I wjechały samochody takie ciężarowe, takie jak do ładowania, ale wojskowe takie raczej, to wojskowe były. I był z nimi ten główny szef, bo już znałam wszystkich tych gospodarzy, ale w tej chwili już też nie pamiętam, jak ten się nazywał. I tam były takie bale suszone, suszyły się na budowę, świerki, dęby. I on był w mundurze wojskowym, miał bardzo ładne buty. Tak siedział, rozłożył się na tych belkach i z taką dumą siedział, a żołnierze szukali po mieszkaniach tych wszystkich mieszkańców i ustawiali rządkiem. Ja to bardzo przeżyłam, bo wiedziałam, że coś się złego szykuje. A ponieważ w tym okresie bardzo wiele wiosek zostało zlikwidowanych, zniszczonych, wystrzelali ludzi… Był taki pan Malinowski, bogaty gospodarz, wzorowy. Właśnie jego też całą rodzinę wystrzelano. To były okropne czasy, przerażające. Wiedziałam, co się szykuje. Byłam po prostu w wielkim niepokoju i chciałam ich uratować. Nie wiedziałam jak. Bo znałam tych gospodarzy, bo tam bez przerwy bywałam. To oni byli bardzo prości, niewiele wiedzieli o wielu sprawach. Oni się zajmowali tylko swoimi obowiązkami, gospodarstwem i wiedzieli, że żyjemy w trudnych czasach

wojennych. I jeśli ktoś do nich się zjawił na tą wioskę, tak jak ja na przykład, to mi dano jeść, mogłam tam przespać i schować się od tragedii. I tam ciągle ludzie przychodzili. Przychodzili Żydzi, przychodzili partyzanci, nawet Rosjanie początkowo, którzy byli w partyzantce też na terenach naszych. Bo dopiero po wyzwoleniu wszyscy się wyłonili, no i zaczęli się szukać, szukać swoich miejsc. I właśnie taki był moment, coś mi tak zaszumiało w głowie, i myślę sobie: ja muszę ich jakoś uratować. Bo oni tak pokornie wszyscy stanęli, wiem, że zaraz ich wywiozą do lasu i pewnie rozstrzelają. I to mnie bardzo niepokoiło po prostu. Więc przyszła mi taka myśl, bo słyszałam kiedyś, że Anglicy bardzo lubili prowadzić mowy na placach różnych. Więc przynosił skrzynkę, stawał na tej skrzynce i zaczął swoje głosić tematy, które on chciał przekazać. Nie wiem, co tam, tylko wiem, że tak było. Właśnie on siedział na tych belkach, a tu było tak trochę ziemniaków, jakieś skrzynki rozrzucone. I ja nie wiem, takie jakieś coś mi do głowy przyszło, chwyciłam tą skrzynkę, stanęłam na tej skrzynce przed nim i zaczęłam mu mówić. To był taki jakiś, wyskoczył mi jakiś nie wiadomo skąd taki ratunek dla tych ludzi. Bo bardzo ich ceniłam, bo wszystkich obdarzali, wszystkim pomagali. I stanęłam, i zaczęłam do niego mówić. Pamiętam te słowa: „Panowie, trafiliście na wioskę, która powinna być obdarowana jakimiś darami, podziękowaniami za to, że okazali się bardzo ludzcy, że pomagali wszystkim. Oni się nie pytali: kim jesteś, skąd jesteś, tylko: czego potrzebujesz. Przespać się? Proszę bardzo! Jeść. Jestem głodny –nakarmili. Więc wydaje mi się, że oni zasłużyli na wielkie dobro i uznanie, a lękam się że to jest nieporozumienie, więc stanęłam w ich obronie. I wyliczałam partyzantów. Były różne grupy, lewicy, prawicy, tacy, inni. Oni się, mówię, na tym nie znali, nie wiedzieli, kto za kim i ich to nie interesowało. Ich interesował człowiek i oni temu człowiekowi zawsze pomogli. Bo ja tu też uzyskałam tą dobroć od nich i dlatego mówię to, co zauważyłam. I powiedziałam, że oni się nawet nie domagają niczego, bo uważali, że to, co zrobili, to tak powinno się robić, tak powinno być. Nie domagają się niczego, ale ja stanęłam w ich obronie, bo wiem, o co chodzi, że za ich dobro, to powinniście wszyscy im podziękować i w pamięci gdzieś umieścić. Miałam wtedy siedemnaście lat.

5. „Ja jadę dobrowolnie”

Po mojej przemowie na Pustelniku wreszcie stało się tak, że zaczęli ładować na te wozy, na te samochody. Ja byłam rozgoryczona niesamowicie. I mój ojciec wsiada do samochodu. Mnie mało nie pękło serce, bo uwielbiałam swojego ojca bardzo. Podeszłam do tego samochodu i mówię tak: „Tatusiu, ja też jadę” a ojciec mi podał rękę i wciągnął mnie do tego wozu. To był taki bez plandeki, taki wojskowy, duży wóz. No i były tam chyba ze trzy te wozy. Wszyscy się zmieścili i ja siadłam koło ojca i tam siedzę. Bo myślę sobie: jeżeli mają ich rozstrzelać, to ja muszę widzieć. Bo taka była metoda cały czas. Słyszałam, co się działo wokół tej wioski. I jedziemy przez las. Las miał wąską drogę, pełno korzeni. I ten samochód jechał raz na lewo, raz na prawo. I w pewnym momencie jakiś ogromny korzeń, że ten samochód się tak

przechylił. Krzyknęłam: „Ojej!”czy: „O Boże!” A ten żołnierz, który stał na tym samochodzie z karabinem mówi: „A to kto?” Bo nie zauważył, jak wsiadłam, jak mnie ojciec wciągnął. A ja mówię: „Ja dobrowolnie jadę” „Na ochotnika” Jechaliśmy dalej. Widzę, że mijamy las i dojechaliśmy do Krzczonowa. W Krzczonowie dowieźli nas do tak zwanej „kozy” to taki areszt był. I pamiętam taki moment, jak wszystkich dzielili, ten tu, ten tu, ten tu. No i cała ta „koza”była pełna. A ja ciągle jestem przy nich. Udawało mi się jakoś. Byłam przy nich. Ale w końcu widzę, że oni są jacyś bezradni. To podeszłam do ojca i powiedziałam tak: „My nie mamy żadnej winy, ale mówimy wszyscy jedną prawdę i prawda nas uratuje” Ci chłopi, bo tak ich się nazywało, naprawdę nie wiedzieli, co się dzieje, politykami nie byli ani inteligentami. Ot, ludźmi zapracowanymi i tyle. I wtedy, jak oni już byli rozmieszczeni w tej „kozie”wszyscy, zamknęli ich, chodziłam tam i wszystkich przygotowywałam. Mówiłam: „Słuchajcie, wy jesteście niewinni, jesteście wspaniali. Ja wam dziękuję za wszystkich jeszcze innych, bo nie wszyscy to pamiętają i nie wszyscy chcą wam podziękować, bo już zapomnieli. Ale pamiętajcie, musicie mnie posłuchać, bo jak nie posłuchacie, to będzie tragedia. Mówicie wszyscy prawdę. I muszą wszyscy mówić tą prawdę, jaka była” I tak ich przygotowałam. Mój ojciec to wiedział, o co chodzi, bo miał świadomość. I tam ich wszystkich przesłuchiwali, nie był nikt bity. Nadeszła noc, nie miałam gdzie spać. No bo nie pójdę do „kozy” A ponieważ tam nikogo nie znałam, pomyślałam, że pójdę do księdza, może mnie tam gdzieś w przedpokoju wpuści. I przyszłam do kościoła, pukam do domu, w którym mieszkał ksiądz. Zjawia się ksiądz, uchylił drzwi i pyta: „O co chodzi?!” Ja mówię: „Proszę księdza, nie znam tu nikogo, mam siedemnaście lat. Jestem przestraszona, bo przyjechaliśmy tu z wojskiem, przywieźli nas. Oni są w „kozie” a ja nie mam gdzie przenocować. Czy ja nie mogłabym na krzesełku gdzieś przesiedzieć noc?” A on trzask! mi drzwi i nie wpuścił mnie. Jaką boleść miałam straszną, jakżeż przeżywałam niesamowicie. I przypomniało mi się, że mój ojciec mówił, że tam właśnie w Krzczonowie mieszka syn państwa Koszów, u których on kiedyś, kiedyś pracował. I ja zaczęłam pytać, czy nie wiedzą, gdzie tu mieszka ten pan Kosz. Powiedzieli mi ludzie. I przyszłam tam. Bardzo gościnnie mnie tam przyjęto i przespałam tę noc tam. Rano znowu poszłam do tej „kozy”

6. „Jak ja się nazywam?”

W Krzczonowie chodziłam do tej „kozy”codziennie, przez parę dni, nie pamiętam dokładnie, jak długo to trwało. W każdym razie nic się nie zmieniało. I siedzę kiedyś na takiej ławce tam blisko tej „kozy”i nagle patrzę, idzie dwóch żołnierzy z karabinami do mnie. O, myślę sobie, już wreszcie i ja, niewinna dziewczyna. „Proszę z nami” Nie ma rady, idę. Weszłam tam, gdzie mieli to biuro, siadłam na ławce i siedzę, i już przestraszona. I myślę sobie, zaraz zapytają mnie jak się nazywam. A ja nie mogłam sobie przypomnieć nazwiska, jak ja się nazywam, jakie ja mam imię. Taki miałam wielki przestrach. Tak potężnie się przestraszyłam, że dopiero byłam na wolności, a

tu nagle już i jestem w „kozie” I siedzę, siedzę i tak sobie przypominam. Jak ja się podpisywałam na zeszycie? Nie mogłam sobie przypomnieć. Jak pani mnie czytała w dzienniku, gdy sprawdzała listę? Nie mogłam sobie przypomnieć. I siedzę taka zmartwiona, i tak myślę, że jak mnie zapytają, a ja powiem, że nie wiem, to powiedzą, że kłamię. No bo jak to nie wiem, prawda? I zaczęłam się tego bać. I nagle otwierają się z trzaskiem drzwi, a oni mówią do mnie: „Amelia Krzysiak!” No, ulżyło mi, że już wiem, jak się nazywam. Takie to było straszne. Weszłam tam, gdzie mnie wołali. Było takich dwóch młodych chłystków. I zadawali mi pytania różne. Ja na te pytania odpowiadałam, nie miałam niczego do zatajenia, nic do ukrycia. Po prostu mówiłam prawdę. Właściwie kładłam raczej nacisk na to, że mówiłam, że przeżyliśmy straszną wojnę, mamy szczęście, że jeszcze jesteśmy, bo już bardzo wiele osób niestety straciło życie w czasie tej wojny. A my ocaleliśmy i może się przydamy jeszcze Polsce. Tak patriotycznie. Tak właśnie wtedy powiedziałam, że ci chłopi, bo musiałam nawiązać do tych chłopów, oni wiedzieli, że to ta sama grupa, powiedziałam: „Ci chłopi to są bohaterami, bo gdyby Niemcy wiedzieli, że przechowują partyzantów, to byliby zastrzeleni, spaleni po prostu” Byliśmy w takiej niewoli strasznej, że nie było tam nawet nadziei. Ale przebrnęliśmy to wszystko i mówię: „Zaczynamy nowe życie. Ja chętnie we wszystkim pomogę” I oni tak już zaczynali mi zadawać pytania: „A co pani na to? A co na to?” To były takie haczyki. Ale tak mało inteligentne były, że ja im odpowiadałam bajkowo po prostu [śmiech.] I oni tacy osłupieni, nie wiedzieli, o co chodzi. Także wybrnęłam z tego. I, jaka radość, przyjechały żony do tych wszystkich chłopów, przywiozły jedzenie, chleb i inne, bo głodni byli. I oczywiście zostali zwolnieni. Potem niektórzy mówili, że to wszystko nie wydarzyło się przypadkiem, jakimś dziwnym trafem, tylko że ja świetnie poprowadziłam tę sprawę. Nie wiem, trudno mi powiedzieć, czy mieliśmy takie szczęście, czy tak rzeczywiście było.

7. Do Lublina na granatach

Po całej tej akcji w Krzczonowie wróciliśmy jeszcze na Pustelnik. Trzeba było ich trochę uspokoić, pocieszyć. Ja przebywałam tam dość długo, przynajmniej dwa lata. To dorywczo było, czasem wyjeżdżałam. Pamiętam jeszcze tak zwane wyzwolenie, natomiast może z miesiąc, może ze dwa po Krzczonowie, jeszcze wybraliśmy się do Lublina z partyzantami po jakieś sprawy, nie wiem, po co. Moja mama wtedy jechała ze mną. I oni mieli siedzenie, a dalej była taka skrzynka na tym wozie. A w tej skrzynce wiedziałam, co jest, bo zrzucali granaty. I na tych granatach jechałyśmy z mamą do Lublina. Nagle tragedia się wydarzyła, bo patrzymy, warta niemiecka. To już wiedziałam, że nie potrzeba granatów, to już oni nas załatwią. No, nic nie było, tylko w tej skrzynce te granaty. Oni oni mieli jakąś broń. I taki Niemiec w kasku. Wyglądali strasznie, przerażająco. Taki Germaniec, że człowiekowi się równocześnie zimno robiło i gorązdjco. I mówi: *Ausweis!* [niem. „Dowód osobisty!”–przyp. red.]. No więc, co mieliśmy, to pokazujemy. On sprawdza. Po co jedziemy? Już nie pamiętam, co oni powiedzieli, a ja mówię, że myśmy jechały do domu. I niesamowita sytuacja

się wydarzyła. *Weiter!* [niem. „Dalej!”–przyp. red.] –mówi. Machnął. No to *weiter*, i pojechaliśmy. Dziwnym zbiegiem okoliczności. To były już ostatnie dni niemieckiej niewoli. Jechaliśmy przez Dziesiątą ulicę. Boże, jak myśmy się wyrwali od tego Niemca, to po prostu jakiś szczyt marzeń był, że się wyrwaliśmy jakoś tak szczęśliwie. Otumaniony coś był ten, co nas zatrzymał, no bo tylko drobna sprawa: otworzyć tą deskę i już. Ale się udało. Nie zawsze i nie wszystkim, ale były i dobre, i złe sytuacje. Ale to człowieka kosztowało bardzo dużo.

8. Więzienie na zamku

Nie było mnie w Lublinie ani w czasie wyzwolenia, ani w czasie likwidacji Majdanka, byłam na wsi. Mama była z bratem, a my z ojcem tak przyrośliśmy do tej wsi, że nie mogliśmy wyjechać. Zresztą ja się zawsze trzymałam ojca. Co ojciec, to i ja. W końcu wróciliśmy, ale tylko słyszeliśmy, że właśnie wtedy była ta tragedia na zamku. Bo to już był potem dwudziesty drugi lipca, wkroczenie wojsk, wyzwolenie Lublina, a wielka rzeź na zamku była. Mój ojciec przecież był tam wcześniej, tylko co udało nam się wyrwać go ze szponów niemieckich. I właśnie pojechał do tej partyzantki. Natomiast mama była wtedy w Lublinie i z bratem przeżywali już to wszystko. Znam to z opowiadania. Mój mąż, którego jeszcze nie znałam, miał wtedy, dziewiętnaście lat, skoro ja miałam siedemnaście. Był wtedy na zamku. I dwudziestego drugiego lipca wyszedł. Nie pamiętam, ile tam osób wyszło. Potem tam zawsze były te spotkania w tym dniu dwudziestego drugiego lipca przy zamku i była msza wtedy i ogromnie dużo ludzi przybywało na ten moment. To tylko wiem z opowiadania, bo przecież nie znałam teściowej i nie znałam swojego męża. Tylko wiem z opowiadania, że jego mama to dwa tygodnie siedziała pod furtką tego więzienia. Dlatego że mój mąż był jedynakiem. Po dziesięciu latach małżeństwa urodził się, więc taki jak Mesjasz, oczekiwany. Matka miała jednego i ogromnie go kochała, tak ponad poziomy. Jak ona musiała cierpieć, mając tego jedynego syna wtedy w więzieniu, kiedy tam do kostek krwi było w tych salach. Mama opowiadała, że w nocy przyszli i zabrali go do więzienia. Nie był w żadnej partyzantce ani nic, ale być może, że to była taka sprawa, że on został złapany w łapance i wysłany do Niemiec na roboty. To był jedynaczek, jak mówiłam, wyniańczony, a tam trzeba było bardzo ciężko pracować. I tam spotkał kolegę i koleżankę. I razem zdecydowali, że mają tego *genug* [niem. „dość”–przyp. red.] i jadą do domu. To była zima i wyruszyli piechotą do granicy. I w nocy przeszli przez granicę Odry po lodzie. Tak. I dalej była Generalna Gubernia. Tam siedli w pociąg i siadali tam, gdzie było napisane: *Nur für Deutsche* [niem. „Tylko dla Niemców”–przyp. red.], bo znali niemiecki, a szczególnie ten kolega świetnie mówił po niemiecku. I siedli, akurat jechało wojsko na front. I bardzo byli zmęczeni, więc siedli i jechali tu, gdzie *Nur für Deutsche* i spali. I jeden z Niemców mówi: „Dajcie im, bo oni jadą na front, żeby siedli” A ten kolega po niemiecku: *Nein!* [niem. „Nie!”–przyp. red.]. Powiedział, że on jest tak umęczony i jedzie w ważnej sprawie, i nie wstanie. Taką sytuację znam, bo mąż opowiadał. I prawdopodobnie wrócił do

domu. A Niemcy wyszperali, że uciekł. Być może, że za to. Bo nie był w partyzantce. Także to takie moje domniemanie jest. Bo tamci dzwonili czy tam pisali do Lublina, że uciekli. No więc zaczęli szukać, nazwisko podane, i znaleźli. I wtedy został aresztowany. I przeżył tą gehennę wyzwolenia. Ten młody człowiek wyszedł wtedy z tego więzienia do domu. Zmarnowany, zniszczony, przeżył niesamowite rzeczy. To było właściwie morderstwo, nie wyzwolenie, bo poległo tam mnóstwo osób. Wiem, że tam był kolega mojego ojca. Nazywał się pan Różański. To jego ciało znaleziono strasznie pobite, dlatego że on rozpoczął wielką bitwę z nimi, z Niemcami. Strasznie walczył z nimi wtedy. I był taki obity po tym, bo go w końcu dopadli i zastrzelili. I na cmentarzu na Lipowej jest jego nazwisko na tym pomniku.

9. Mieszkania po wyzwoleniu

Po wyzwoleniu ojciec znalazł skromne takie mieszkanie na Kamiennej ulicy. I potem mieszkaliśmy już na [ulicy] Kamiennej. A potem, jak za mąż wyszłam, w [19]50 roku, to mieszkałam na [ulicy] Żelaznej, bo mąż tam mieszkał. To było dziesięć minut drogi od moich rodziców. Teściowa nam dała pokój. Bo już ojciec męża nie żył. Ojciec zmarł, mając pięćdziesiąt pięć lat. Już się znaliśmy, w pięćdziesiątym roku wyszłam za mąż, a ojciec zmarł tak rok przed tym. Mieszkanie na [ulicy] Kamiennej to był duży drewniany dom. Taki nowy, przed wojną wybudowany. Nie pamiętam numeru. Ale ten dom już jest nieczynny. To znaczy jeszcze stoi rudera. Bo kiedyś prosiłam, żeby mnie syn zawiózł, żebym zobaczyła dom mojej historii. To wiem, że już jest nieczynny. Nikt nie mieszka już tam. Nie wiem dlaczego. Szybko się zestarzał ten dom. Na [ulicy] Żelaznej z kolei urodzili się moi synowie. W tym komforcie. I wtedy zaczęłam się starać o mieszkanie. I taka wieść doszła do nas, że jest nadzieja wybudowania nowej dzielnicy, LSM-u. I w [19]60 roku już zaczęłam tu mieszkać.

10. Wspomnienia z liceum

Zaczęłam szkołę ogólnokształcącą zaraz po wyzwoleniu. Bo skończyłam szkołę handlową za okupacji, ale mnie to nie odpowiadało. A, myślę sobie, ciągnę dalej, bo przecież przed wojną byłam w ogólnokształcącej, to jedną klasę miałam. Ale zaczęłam od początku, dlatego że dużo zapomniałam, poza tym tam miałam francuski, tu był niemiecki, bo nie było francuskiego. Była też łacina. Teraz jakoś nie ma tej łaciny, a szkoda, bo to bardzo ciekawy język. I właśnie zaraz po wyzwoleniu tak się złożyło, że pani profesor Krzeczkowska, to była profesor chemii, zdecydowała się na otworzenie szkoły ogólnokształcącej, która powstała w tym budynku Vettera. Tam było dużo szkół. Bo wtedy one powstawały, to mieściło się tam kilka. Handlowa była, jeszcze jakaś. I tam zaczęły się właśnie lekcje pani Krzeczkowskiej. A języka niemieckiego uczył mnie pan profesor. Na [ulicy] Króla Leszczyńskiego, na początku, tam taka kamienica jest. Tam mieszkała rodzina pana profesora. Miał syna. Syn na KUL-u wykładał angielski, a on u nas. Potem dopiero był na KUL-u. To się połączyło z tym dystryktem jeszcze. Ten starszy pan profesor od niemieckiego cały czas na

lekcji się na mnie patrzył i patrzył. Mnie to niepokoiło, dlaczego tyle młodzieży jest, a on się tylko na mnie patrzy. Nie wiedziałam, o co chodzi. I pewnego razu on mi mówi tak: „Chciałbym się z panią spotkać w kawiarni" Myślę sobie: „nie, no to już przechodzi ludzkie pojęcie" Starszy pan profesor, bo jego syn był przecież już dorosły, a ja młoda dziewczyna jeszcze. I to mnie zaskoczyło. Ale on tak powiedział definitywnie, że ja nie miałam nic do powiedzenia. „Będę czekał na dole" Myślę sobie, dlaczego i mówię do mojej koleżanki: „Słuchaj, co to może być? Dlaczego profesor ze mną się umawia do kawiarni?" No ale idę. I nie idę z nikim złym, tylko z profesorem. Poszliśmy. I on zaczyna ze mną rozmawiać. „Co pani robiła w okupację? Gdzie pani pracowała?" A ja jemu mówię, no bo tak było, jak było. Mówię, że pracowałam na [ulicy 22] Lipca. W dystrykcie, mówię. A o n mówi: „Tak? A co pani tam robiła?" Zaczyna ze mną wywiad przeprowadzać. Zaczęłam mu opowiadać tak jak było, że pracowałam z Polkami w tej willi, ale potem mnie Niemka przeniosła. On pewnie myślał, że ja jestem folksdojczem. I się uratowałam jeszcze, chodząc do szkoły. Jaka ja byłam zaskoczona. A ja sobie przypominam, że wszyscy, kto musiał coś załatwić w sprawie szkolnictwa, to przychodził tam do tego Jasinowskiego, gdzie ja pracowałam. Ja siedziałam w tym pokoju, wszyscy mnie widzieli, a on mieszkał obok, i miał drzwi obok ten szef. I on mnie, będąc tam u niego widział i zapamiętał. I nie mógł sobie skojarzyć, skąd ja się tu wzięłam. No więc potem już wszystko było wiadomo.

11. Jak zaczęłam studia

Jak już skończyłam maturę, zaczęłam studia. Marzyłam o tym, żeby zostać dentystką. Ale mój brat wtedy studiował medycynę w Szczecinie. I moi rodzice nie mogli finansowo sobie poradzić, bo ja też bym musiała gdzieś wyjechać. Rodziców za dużo by to kosztowało. Zdecydowałam, żeby być blisko i poszłam na historię. Ale bardzo się teraz cieszę, bo wreszcie nie będę dłubać w zębach, to głupia robota. A historia to jest piękna sprawa. Przypadkowo dobrze trafiłam. I pan profesor właśnie dał mi temat. Trudny temat był. A jeszcze wcześniej to była taka historia, że ja do niego przychodziłam, a jego mama zakochała się we mnie. Była oczarowana mną. I ilekroć przyszłam tam w jakiejś sprawie do profesora albo zostawiałam coś, bo ja fragmentami tę pracę zostawiałam, tyle razy miałam przyjęcie. Dobre, słodkie przyjęcie od mamy profesora. Ciągle ze mną rozmawiała, a on nie miał jeszcze żony, jeszcze długo potem nie miał. I ona była jakoś mną tak zachwycona, że sobie wymarzyła, że ja powinnam być żoną jej syna. Tego jeszcze nie było w historii. To było dla mnie zaskakujące i dziwne, chociażby dlatego, że ja już byłam mężatką. A ona nie wiedziała. Bo ja pracę magisterską pisałam na moje nazwisko panieńskie, ponieważ dużo zawdzięczałam moim rodzicom, więc chciałam upamiętnić i podkreślić ich wielką rolę w moim życiu i byłam jeszcze wtedy panną Krzysiakówną. I ona nie wiedziała, że ja jestem mężatką. To była taka dziwna sytuacja, że coś niesamowitego. I w końcu ona musiała mu powiedzieć i on bardzo zmienił stosunek do mnie, bo rzeczywiście takie dyskusje prowadziliśmy, bardzo przyjemne rozmowy.

W końcu napisałam tę pracę, on sprawdził. I już skończyłam kontakty. Dowiedziałam się potem za jakiś czas, że bardzo dużo wysyłał korespondencji, bo miał dużo znajomych w Anglii, bo znał świetnie angielski. I poznał panią z okienka pocztowego i ożenił się.

12. „Z mężem sobie radziłam”

Męża poznałam, gdy wracałam autobusem z pracy. Wtedy jeszcze nie było samochodów ani busów żadnych, tylko były takie budy z samochodów ciężarowych. Okręcone jakąś tkaniną i wchodziło się do tego. Bardzo ciasno, no w ogóle było okropnie. To były te pierwsze dni naszej komunikacji miejskiej. Chciałam się wcisnąć, ale tak zawsze było tłoczno, że się aż bałam, że mi tam żebra połamią. I razu pewnego pan trzymał tak wysoko rękę, a ja pod ręką mu weszłam jednak, a on mówi: „O! I tak można!” No i weszłam. Okazało się, że to był mój mąż. Wysiedliśmy w tym samym miejscu. Myślałam, że on idzie za mną. Idziemy przez tunel na [ulicy] Bychawskiej, bo ja mieszkałam na [ulicy] Kamiennej, on na [ulicy] Żelaznej. Wysiedliśmy i on znowu idzie za mną. I tak przez parę dni spotykaliśmy się w tym samochodzie i na tej drodze. I w końcu doszło do tego, że on mówi: „No, chyba musimy się poznać, bo się za często spotykamy” I poznałam go, już potem spotykaliśmy się w parku, w Saskim Ogrodzie na spacerach, na deptaku na Krakowskim Przedmieściu, bo wtedy tak się spacerowało, teraz nie. I właśnie tym sposobem znalazłam męża. To się dało zauważyć w moim życiu, że mąż miał jakieś trudne przejścia, bo był bardzo znerwicowany. Ale ja wiedziałam o tym wszystkim. Właściwie to dużo musiałam znosić. Też byłam bohaterką. Bo jako jedynak odebrał inną formę wychowywania. On był na piedestałach całej rodziny. Wmówiono to w niego i tak się czuł. Więc on był takim *übermenschem* [niem. „nadczłowiek”–przyp. red.]. A ja miałam być skromną dziewczyną. Ale też nie chciałam i dlatego była trudna sprawa. Ale przetrwaliśmy do końca. Dzięki mnie na pewno przeżył dziewięćdziesiąt lat. Dlaczego dzięki mnie? Bo jego ojciec zmarł, mając pięćdziesiąt siedem lat. Jego mama zmarła, mając sześćdziesiąt pięć lat. A on miał dziewięćdziesiąt. Czyli ja powinnam jakieś odznaczenie dostać. Miał dziewięćdziesiąt. I wydaje mi się, to jest moje domniemanie, bo ojciec to zmarł na atak serca, ale mama była wspaniałą gospodynią domową, wspaniale gotowała. Ale nie zdawała sobie sprawy, że te jej przysmaki nie są zdrowe. Bo dużo przypiekała, smażyła wszystko. I on wiecznie te przypiekanki jadł i ona też. I ona zachorowała wcześniej, i potem właśnie zmarła. I mój mąż, tak sobie teraz przypominam, kiedy był już w szpitalu, już był w bardzo ciężkim stanie, to tylko dlatego, że nie chciał zrobić badań. Ja sugerowałam, żeby zrobił badania, bo to będzie obraz tego, co ma ratować, co ma robić, żeby uratować się. Powiedział, że wmawiam w niego chorobę, więc on nie będzie żadnych badań robił i nie zrobił. I nawet diagnozy nie było, bo też nie chciał zrobić badań. I taka była sytuacja, że nawet lekarze nie mogli sobie poradzić z moim mężem. Ja sobie radziłam. Kiedy był już taki krytyczny moment, przyszłam do szpitala, a on zaczął

płakać. Ja mówię: „Dlaczego płaczesz?” „Bo czuję, że odchodzę” A ja mówię: „Nie masz powodu do płaczu. Przypomnij sobie, ile lat żył twój ojciec, ile żył mój brat, też pięćdziesiąt siedem lat, ile twoja mama lat żyła, sześćdziesiąt pięć” A on do mnie mówi: „Zawsze byłaś mądrą kobietą i masz rację” I przestał płakać.

13. Dyplom i narodziny syna

W [19]52 roku pisałam pracę magisterską. To znaczy miałam temat, pracowałam i zdałam czternastego września [19]52 roku. Miałam wyznaczone o jedenastej trzy dyplomowe egzaminy na KUL-u. Poszłam, zdawałam te egzaminy. A ja się spodziewałam drugiego dziecka wtedy. I zdawałam u księdza profesora Pastuszko, który był tym słynnym profesorem. Mam jego wszystkie dzieła, filozoficzne i psychologiczne. Był chłodny dzień, byłam w jesionce takiej beżowo-brązowej i na tym takie białe kulki. Ładna jesionka była i miałam plik książek przed sobą. Weszłam do sali i zdawałam te egzaminy. Po zdaniu egzaminów wróciłam do domu. O pierwszej zjadłam obiad i spakowałam rzeczy, które miałam już przygotowane do szpitala. I powiedziałam mamie i mężowi, że jadę do szpitala już. I pożyczyłam na kulowskiej bibliotece, tej dużej, książkę z XIV wieku. XIV wiek, to była gotykiem pisana książka. I poza tym staropolszczyzną. Dlatego ta książka była dla mnie bardzo trudna, bo gotyku nie znałam i stary polski język to był zupełnie inny, prawda? Musiałam to sobie tłumaczyć na nasze. I postanowiłam wziąć tę książkę do szpitala. Bo myślę sobie: „będę oczekiwała, jeszcze coś zrobię, bo nie zdążę w końcu, bo terminy” Zapakowałam ją w białą pieluszkę i pojechałam. Tam była taka pani przełożona, to była mama mojej koleżanki, pani Szejbalowa. Znana bardzo była w Lublinie i jeszcze pracowała w Bełżycach. Bardzo taka ceniona i znana. Także byłam u swoich. Oczywiście dostałam łóżko, to wszystko, siedzę i siedzę. I tam ktoś wchodzi, to ja pieluszką, bo nie wolno! Stara rzecz, musi być stuprocentowa higiena, prawda? To było takie utajnione, a tu przekroczyłam właśnie pewne reguły. Ale moje tempo życia to sprawiało, musiałam każdy czas wykorzystać. A mój mąż się bardzo na mnie obraził, że wymyśliłam, że idę do szpitala. No, obrażony był. Więc nie pojechał ze mną, pojechałam sama taksówką. Tam się umieściłam, załatwiłam wszystko. O pierwszej, jak zjadłam obiad, to wyjechałam. I potem cały czas uczyłam się, wybierałam te informacje, tłumaczyłam tę książkę na nasze, żeby mieć potem łatwiej. W pewnym momencie poczułam jakieś ruchy i akcja się zaczęła. I właśnie o piątej urodziłam syna. Szczególny dzień. Trzy egzaminy dyplomowe, zdecydowałam konkretnie, że jadę do szpitala, pokłóciłam się z mężem przy okazji. Mój mąż obrażony nie przyszedł już do mnie tego dnia, tylko na drugi dzień, bo nie wracam, to przyszedł mnie oświęcić. Przychodzi do okienka i prosi, żeby poproszono mnie do okienka, a pani pielęgniarka mówi: „Nie, nie poproszę” Zdenerwował się bardzo na nią. „Jak to, pani mi odmawia?! Co to znaczy?!” I tak dalej. W końcu ona powiedziała: „Nie poproszę, bo pani urodziła syna” Był zaskoczony niesamowicie. I oczywiście taka była sytuacja, że on powiedział moim rodzicom. I niebawem przyszli rodzice

odwiedzić mnie, no i zobaczyć tego nowego syna. Bo już jednego miałam. I właśnie takie dziwne to wszystko było, jak zwykle wokół mnie. Przynoszą tego mojego syna, który tam siedzi, tylko wtedy leżał. A mój mąż patrzy i mówi: „Słuchaj, napsociłaś coś" Ja mówię: „Co napsociłam?" „To jest nie nasze dziecko" Ja mówię: „Jak to nie nasze dziecko?" „No pewnie zamienili" Bo mój mąż był blondynem, a to był czarny chłopak, miał kręcone włosy i jemu się nie mieściło w głowie, że może być czarny. Więc był bardzo zaskoczony tym widokiem. Zdenerwował się bardzo i powiedział: „Być może, że to nawet żydowskie dziecko się zamieniło" A ja mu powiedziałam: „Urodził się, pamiętam" I był tam słynny profesor, wiele lat, a oprócz niego jeszcze inny lekarz, ten właśnie, który przyjmował mojego syna, potem był już lekarzem na ulicy Lubartowskiej. Tam jest ta przychodnia i szpital. I ten młody lekarz był przy narodzinach mojego syna. I ja mu to powiedziałam wszystko. A jeszcze, jak on się urodził, to wszystkim pokazywał i mówił tak: „Zobaczcie, co za piękny dyrduś" I to mu powiedziałam. I on się pochwalił tym do tego profesora. I się zaprzyjaźnili z profesorem. Profesor przychodził na przyjęcia do niego.

14. „Kosza dałam jednym słowem"

Miałam bardzo wielu amatorów, nawet był taki pan rektor akademii medycznej, pan Chmurzyński, z którym poznał mnie jeden z kolegów. I on mi się oświadczył. A poza tym jeszcze miałam takiego, to był kolega, który nazywał się Edzio Tyburski. Edzio Tyburski, który ze mną studiował historię. I on studiował również ekonomię. Dwa fakultety. A jego przyjaciel studiował pięć fakultetów i był szefem organizacji studentów. Już nie pamiętam, jak ona się nazywała. Ponieważ on był tym przewodniczącym, więc brał udział we wszystkich spotkaniach profesorów. Na wszystkie tematy naukowe. Taki prymus był wysokiej klasy. No i ten właśnie Edzio bardzo mnie lubił i powiedział: „Meluchna, kocham cię nad życie, ale wiem, że nie mogę być twoim mężem" A dlaczego? Bo on był mniejszy ode mnie. Pochodził ze Lwowa. Lwowiak z humorem. Bardzo sympatyczny człowiek. Bardzo go kochaliśmy wszyscy i nazywaliśmy go wnuczkiem, dlatego że był mały. Także miałam takich amantów z wysokiej półki. Edzio powiedział tak: „Ja bardzo ciebie kocham i muszę ci tak utorować życie, żebyś była szczęśliwa" To rzadko się spotyka, żeby ktoś kosztem własnego szczęścia tak robił, ale tak było. No więc potem ten Edzio Tyburski pracował w Urzędzie Miejskim i był doradcą prezydenta. Mieszkał na ulicy Bychawskiej. Wybudował sobie tam domek i ten domek był skromny, bo wtedy to było nam wszystkim ciężko. Ale teraz jego syn dziwnym jakimś trafem stał się milionerem i w Warszawie wybudował sobie piękną willę. I ciągle jeździł do tej Warszawy, bo tam coś działał. Miał dwóch synów. A żona jego to była okulistka. Poznałam ich wszystkich, tych synów znałam, bo jak miałam problem jakiś, to do Edzia pędziłam. I on mi zawsze w wielu sprawach pomagał. I właśnie tak się złożyło, że ja panu rektorowi też powiedziałam, że jestem nieprzygotowana na taki poważny krok w życiu i nie mogę się jeszcze decydować. Kosza dałam jednym słowem. Ale on

się potem ożenił, wiadomo. A ja jeszcze poszłam kiedyś do niego z wielką pokorą. Był zaskoczony. Ale to jeszcze troszkę później było. No, miałam tych młodzieńców wokół siebie sporo na KUL-u. Już prawie nikogo nie widzę z nich wszystkich. Pamiętam wspaniałe tańce na tych salach. Boże kochany, jak ja tego mazura tańczyłam. Szatańska sprawa była. No, bo do tańca byłam dobra. Kiedy byłam w szkole jeszcze, to zapisałam się na lekcje tańca. A te tańce odbywały się na poczcie głównej, tylko nie w głównym budynku, tylko w budynku wewnątrz. Na podwórku stał taki domek i tam odbywały się lekcje tańca. To było bardzo miłe i czekałam niecierpliwie na każde kolejne zajęcia. Prowadził to pan profesor, który przyjechał ze Lwowa i był szefem w Teatrze Wielkim od spraw tańca i sceny w ogóle. Pan profesor Klimek się nazywał. Ta sala była duża, zapisywali się młodzi ludzie. Moja koleżanka, która mnie zdradziła wtedy z tą pracą w biurze włókna i wiele jeszcze innych. A tu, gdzie teraz jest pedagogika [UMCS], to po okupacji był szpital. I tam leżeli wojskowi rosyjscy, ci, którzy tam mieli jakieś problemy w czasie wojny. Na froncie. A potem już założona została Wojskowa Akademia Medyczna. W tym samym bloku, co teraz jest pedagogika. I tam ci młodzi studenci z pierwszego, drugiego roku, nawet i trzeci był też. Wszyscy się prawie zapisali na te tańce, więc mieliśmy panów do wyboru. Pań było mniej niż panów, no bo to ta Akademia Medyczna i jeszcze inni. Także było troszkę tych dziewcząt, to byłyśmy rozrywane na tych lekcjach. No ale było bardzo miło, pięknie to prowadził ten pan, a druga pani grała na fortepianie. A w soboty były spotkania taneczne już praktycznie. Bo tu były lekcje, ćwiczenia, a w sobotę było spotkanie do tańca na dobre. I tam poznałam takiego młodego z Akademii Medycznej pana Henryka. Pana Henryczka, tak się nazywał. Pan Henryczek Jabłoński, no więc on zawsze ze mną tańczył na tych lekcjach. Potem spotykaliśmy się i on tak właściwie wymarzył sobie chyba mnie jako przyszłą żonę. Takie były nadzieje. Ale ja naprawdę byłam jakaś za bardzo filuterna chyba, wcale nie miałam takich poważnych zamiarów. I kiedyś poszliśmy na spacer, tam gdzie jest LSM teraz, którego nie było jeszcze, tylko szumiały zboża. I tak szliśmy, on taki radosny był, że ja się zdecydowałam na ten spacer. A ja dzielna byłam dziewczyna, bo w partyzantce byłam, to dlaczego miałam się go bać. I doszliśmy do takiego urokliwego miejsca, był wąwóz i to szumiące zboże, takie łany kładące się w lewo i w prawo i ten zapach taki był dziwny. I w końcu ja mu powiedziałam, że to jest ostatni nasz spacer, dziękuję za miłe spacery, ale ja już wracam sama. On był zaskoczony bardzo. I tak się stało. Poszłam sama tą samą drogą, trochę lękliwie, bo to szczere pole przecież takie, ludzi nie było. Ale wróciłam. I tak się skończyło.

15. Biuro włókna krajowego i początki pracy zawodowej

Pracowałam w takim biurze włókna krajowego, boczna [ulicy] Lubartowskiej. Ten dom, jak się idzie tą ulicą Długą taką na Stare Miasto, widać go, bo stoi tak blisko szosy. W tym domu. To było włókno krajowe. Bo ja tak: pracowałam tam i równocześnie studiowałam. A jak zaczęłam szkołę, to jeszcze maturę robiłam w tym

biurze włókna krajowego. To była taka firma, która produkowała piękne dywany, serwety, koronki. Cepelia, to była taka cepelia. I tam wszyscy, którzy byli utalentowani w całym województwie, znosili te różne wyroby swoje. I nawet robili takie uprzęże dla koni z lnu. To była moja taka pierwsza praca. Potem oczywiście miałam maturę i potrzebowałam przynajmniej miesiąca, żeby się przygotować do tej matury. No więc powiedziałam, że proszę ich o urlop. Oni powiedzieli: „Owszem, dostaniesz" Po tych wojennych przeprawach wszystkich byliśmy opóźnieni wiekiem, więc wszystko było na tempo. Jak się udało, co się udało, trzeba było wykorzystywać. Więc ja znalazłam swoją koleżankę, która bardzo chętnie zastąpiła mnie. To była koleżanka taka najbliższa, nawet była chrzestną mojego pierwszego syna. I przygotowałam się do matury. Maturę zdałam. Ale ja byłam równocześnie już studentką. Bo można było robić maturę, pracowałam i jeszcze byłam studentką na KUL-u. To jakoś się inaczej nazywało, warunkowo. Ja przynoszę maturę i od razu jestem już studentem autentycznym. Więc byłam studentką, pracowałam i maturę robiłam. U mnie wszystko było karkołomne. I po zdaniu tej matury wracam do pracy, bo chciałam pracować, bo byliśmy młodym małżeństwem. Mało było przecież pieniędzy. Bardzo mało. To były bardzo nędzne te pobory początkowe. A moja koleżanka powiedziała, że ona tu zostaje. I już nie miałam pracy. Czyli dostałam kosza. A mnie nie chciano przyjąć jeszcze do szkolnictwa ze względu na to, że ja byłam na KUL-u, to nie pasowało. Ale w drodze wyjątku zostałam zatrudniona w domu dziecka na Sierocej. To była pierwsza moja praca w zawodzie. Nikt się tam nie zgłaszał, no to ja byłam. To była trudna praca, bo się pół dnia pracowało i w nocy były dyżury. To była moja pierwsza praca przecież, to też trzeba było się dostosować. Ale było mi z nimi dobrze. Te dziewczęta za mną chodziły jak za mamą. Wszystko mi opowiadały o sobie, wszystkie rady ode mnie musiały uzyskać. Jak ja powiedziałam, tak miało być. Miałam wyjątkowe szczęście u nich. Byłam bardzo zadowolona. Ale dalej czekałam na szkołę, chciałam w szkole pracować. I potem pracowałam na Czwartku w szkole. Dostałam chwilowe zastępstwo. I zaczęła się moja praca w szkolnictwie w ten sposób, tak przebojowo i jakoś okolicznościowo, wyjątek taki.

16. Studia na KUL-u i UMCS-ie

Na KUL-u był ksiądz profesor Pastuszka, miał filozofię, psychologię. Prymas Wyszyński prowadził historię kościoła. Trudno mi powiedzieć, żebym miała jakieś ulubione zajęcia, bo wszystkie były z konieczności. Chodziło o to, żeby dobrze zapamiętać i zdać. To był cel. Bo najprzyjemniej to się spotykaliśmy na zabawach. A tu była ciężka orka. Moja koleżanka też zaczęła historię, ta, która zajęła moje miejsce w tym włóknie krajowym. Chodziłyśmy razem. Z tym, że ona się zapisała na chór i ten chór bardzo był wtedy aktywny. Wyjeżdżali do wielu miast, ciągle śpiewali i śpiewali. Także ona nie miała czasu na naukę. Nie zaliczyła nawet żadnego ćwiczenia. A ja musiałam zaliczyć ćwiczenie i potem egzaminy przecież. A tego było dużo. To trzeba było dobrze posiedzieć nocami, żeby to zrobić, bo przecież ja pracowałam jeszcze.

Także moje studia to były ciężkie. Za dużo było tego wszystkiego na raz. Ale jakoś się przebrnęło wszystko. Właściwie to byłyśmy takie dumne z tej naszej uczelni, czułyśmy się dobrze. Była wspaniała biblioteka, z której można było korzystać. Poza tym praca, praca i biegło się szybko, nie było czasu myśleć nawet. Ale były takie przyjemne chwile, jakieś uroczystości. Ja to mało wyjeżdżałam, bo po prostu nie mieściłam się w czasie. A moja koleżanka w końcu co wyśpiewała, to wyśpiewała, ale nie zrobiła żadnego egzaminu i nie skończyła studiów. A ja jednak jakoś twardo wytrwałam i skończyłam. I potem już zaczęłam pracować w szkole. I jak byłam w szkole, to jeszcze zaczęłam nowe studia. Poszłam na plastykę na UMCS-ie. To było ciężkie, bo to i szkoła, i praca, i dom. Jakoś tam się udało, nawet mam dyplom na bardzo dobry. I to mi się bardzo przydało, nie tylko do tego, że mogłam prowadzić takie zajęcia, ale nawet dla mnie samej, to było takie życiowe. Potem wiedziałam, co piękne, a co mniej piękne, bo tu się poznawało to piękno. Także mam nawet zdjęcie, jak otrzymuję dyplom. Ale to właśnie ten drugi, bo pierwszy z opóźnieniem dostałam, bo miałam już tego malucha, no to już poszłam później po odbiór. I właśnie poszłam po odbiór dyplomu z wózkiem. Idę na KUL, a tu idzie ksiądz profesor. Jak mnie zobaczył, to mówi: „W imię Ojca i Syna! Jak to się stało?” A to się takie cuda działy, no bo takie tempo było życia i człowiek musiał wszystko pokonać. Ci, co nie pracowali, nie byli mężem i żoną, no to i mieli ciekawsze to życie, urozmaicone. A ja byłam już związana. Tej radości już nie było, tylko to była orka, orka na ugorze. Tak, to jest już co innego, jak się ma obowiązki, rodzinę. Te studia na UMCS-ie to chyba jeszcze sześćdziesiąte lata były. Bo już parę lat pracowałam, już miałam przecież dzieci. I potem jeszcze te studia. Ale bardzo byłam zadowolona, bo dużo rzeczy się dowiedziałam. Akurat prowadził tam zajęcia plastyk, pan Kawa. Brat tej pani Kawy, z którą byłyśmy razem w pracy w czasie okupacji. On chyba już nie żyje, bo on był starszy przecież ode mnie. To już chyba go nie ma i tej jego siostry. Potem już nie spotykałyśmy się. Każda miała swoje sprawy.

Data i miejsce nagrania	2016-02-10, Lublin
Rozmawiał/a	Joanna Majdanik
Redakcja	Natalia Boczek
Prawa	Copyright © Ośrodek "Brama Grodzka - Teatr NN"